

Henryk Markiewicz

## Spóźnione glosy do wywiadu o historii

Wywiad Adama Leszczyńskiego z prof. Ewą Domańską pt. *Historyk nie sędzia* („Gazeta Świąteczna” z 23–24 lipca 2011) czytałem z wielkim zainteresowaniem. W miarę jednak lektury rosły moje wątpliwości i zdziwienia. Chciałem się nimi z czytelnikami „Gazety” podzielić, ale redakcja nie znalazła miejsca dla moich uwag. Czy po dość długim czasie warto do owego wywiadu wracać? Może tak. Profesor Domańska jest przecież autorytetem w dziedzinie metodologii historii, a wywiad z nią miał na pewno wielokrotnie szerszy rezonans niż artykuł publikowany w czasopiśmie naukowym. Stąd więc to moje spóźnione zdziwienie.

Otóż w pewnym momencie wywiadu Leszczyński pyta: „Za co społeczeństwo historykom płaci, jeśli nie za odkrywanie prawdy?”. Na co Domańska odpowiada: „Za produkowanie wiedzy o przeszłości na podstawie rzetelnych badań”. Wynikałoby stąd, że wiedza historyczna jest czymś innym, niż zbiorem prawd. Jakoż okazuje się, że wiedza ta prawd nie przynosi. Nawet twierdzenia o indywidualnych faktach historycznych nie są zdaniem prawdziwościami. Krytyka źródeł – tu cytat ze *Wstępu do badań historycznych* Langlois i Seignobosa z roku 1898 – „nie może żadnego faktu udowodnić, dostarcza tylko prawdopodobieństwa”. Fakty te – czytamy – są formułowane poprzez negocjacje między historykami, które prowadzą do ich konsensusu. Na dalsze pytanie Leszczyńskiego, „Czy napisanie, że 1 września 1939 Niemcy zaatakowali Polskę to też kwestia negocjacji? Albo że Rosjanie w Katyniu zabili polskich oficerów?” – Domańska nie odpowiedziała.

Poglądy tu omówione przedstawiła Domańska tak, jakby były one teoretycznymi pewnikami, powszechnie dziś uznawanymi. Tymczasem wcale tak nie jest. Mistrz Domańskiej, prof. Jerzy Topolski, pisał w roku 1996 w książce *Jak się pisze historię*:

Ustalenia indywidualnych faktów historycznych są swego rodzaju punktami zaczepienia do zorganizowania wokół nich narracji [...] Można by narrację przyrównać do jakiejś tkaniny rozwieszanej przy wykorzystaniu owych niepodle-

gających w zasadzie dyskusji ustaleń dotyczących pojedynczych faktów historycznych (s. 345).

Co prawda, w innym miejscu Topolski się zastrzega, że możliwości owych ustaleń są ograniczone, zwłaszcza w odniesieniu do czasów dawniejszych, i wtedy historyk także fakty musi konstruować na podstawie pośrednich informacji, które znajduje w źródłach, posługując się różnymi wnioskowaniami. W każdym razie ustalenia takie w ograniczonym zakresie są osiągalne. Konsensus uczonych w odniesieniu do nich niekiedy nie wymaga „negocjacji” (bardzo modne dziś słowo, zaczerpnięte oczywiście z prac amerykańskich), bo powstaje automatycznie na podstawie jednakowego odczytania wiarygodnych źródeł.

Tu może trzeba dodać, że fakt bywa niewątpliwie prawdziwy, natomiast jego szczegóły mogą być tylko hipotezami, lub pozostać nieznanne. Napoleon niewątpliwie zmarł na Wyspie Św. Heleny 5 maja 1821 roku, ale przyczyny jego zgonu są tylko hipotezami. Natomiast bezspornym fałszem są twierdzenia pewnej kuriozalnej, ale sławnej broszurki, dowodzącej nie wiadomo na serio czy żartem, że Napoleon w ogóle nie istniał.

Ale treścią wiedzy historycznej są nie tylko owe indywidualne fakty, lecz także zaczeptione o nie różne konstrukcje narracyjne (różne – to nie znaczy, że pozbawione miejsc wspólnych). W rezultacie, według Domańskiej, nie ma jednej, „prawdziwej wizji zdarzeń” i nie można powiedzieć jednoznacznie: „tu jest prawda, tu jest fałsz”. „Obiektywizm polega na tym, że bada się różne wersje tego samego wydarzenia”, przy czym metodolog „nie zajmuje się tym, kto ma rację” – inaczej mówiąc tym, kto mówi prawdę. A co robi według Domańskiej? Kontroluje np. czy historyk zastosował właściwe metody poznawcze, czy nie ma sprzeczności w jego argumentacji itp. Ale jeśli historyk uchybia tym kryteriom, to nie ma racji. Jeżeli – zdaniem Domańskiej – stwierdzenie tego nie należy do zadań metodologa, to ktoś inny powinien to zrobić.

Domańska głosi także, że wiedza historyczna nie mówi jednoznacznie „tu jest prawda, tu jest fałsz”. Tymczasem – jak starałem się to pokazać – czasem tak postępuje. Ale historyk nie musi i nie powinien zawsze się wypowiadać w kategoriach logiki dwuwartościowej (prawda – fałsz), zwłaszcza gdy chodzi o większe konstrukcje narracyjne. Poprzestaje na opinii „to jest prawdopodobne, a to nie” i stara się przy tym, choćby w przybliżeniu, stopień tego prawdopodobieństwa oznaczyć. Tymczasem o roli hipotezy w narracji historycznej Domańska – rzecz dziwna – w ogóle nie wspomina. (Tu można nadmienić, że z jednej strony – historyk czasem w sposób nieuprawniony przedstawia jako prawdę to, co jest tylko prawdopodobne, z drugiej – dzieje się tak, że dalsze badania historyczne przekonują, iż to, co historyk traktował jako tylko prawdopodobne, okazuje się prawdą).

Wypędziwszy na początku kategorię prawdy z obszaru wiedzy historycznej, Domańska w dalszym ciągu ją reintronizuje w ostrożniejszej formule jako „dążenie do prawdy”. Ale powiada, że we współczesnej świadomości history-

ków wartość ta ulega pewnej degradacji: lokuje się niżej od ludzkiej godności, szacunku dla zmarłych i ich praw, szacunku badacza dla samego siebie oraz wolności słowa.

Taka deklaracja trochę niepokoi. Jest tu przede wszystkim pewne „materii pomieszanie”. Wolność słowa nie jest wartością współmierną z dążeniem do prawdy, jest tylko niezbędnym warunkiem swobodnego dążenia do prawdy. Szacunek do zmarłych i ich prawd to chyba tylko jakiś aspekt ogólniejszej wartości, jaką jest wzgląd na godność innych. Zauważmy jednak, że te zasady nieuchronnie ograniczają i wolność słowa (którego szczególnym przypadkiem jest swoboda badań naukowych), i dążenie do prawdy. (Ujawnienie np. jakiegoś niechlubnego faktu z życia zasłużonej postaci łatwo można oskarżyć o to, że uwłacza szacunkowi dla niej. Ileż to gromów spadło na Boya za to, że bezceremonialnie potraktował Jana III Sobieskiego!). Poza tym niektóre obiekty badań historycznych (np. eksport zboża z Polski w wieku XVI czy stan higieny w Warszawie w wieku XIX) ze swej istoty nie nadają się do tego, by okazywać im szacunek, a nie należy się on niektórym obiektom innym (jak np. biografie zbrodniarzy wojennych; zgodnie chyba sądzimy, że trzeba o nich pisać *sine ira*, ale nie *cum reverentia*).

W nawiązaniu do ekshumacji katyńskich Domańska zadaje retoryczne pytanie: „Kto dał badaczom egzekwowane w imię nauki prawo naruszania spokoju zmarłych? Ile razy można rozkopywać groby w imię sprawiedliwości i prawdy?”. Otóż spokój zmarłych wielokrotnie i w różny sposób bywa naruszany – zarówno wtedy, kiedy się dokonuje sekcji zwłok, jak i transplantacji organów, także wtedy, gdy się przenosi zwłoki z cmentarza Montmorency na Wawel. I nie budzi to sprzeciwu. A co do ekshumacji odpowiedziałbym tak: tyle razy można jej dokonywać, ile trzeba, właśnie dla oddania sprawiedliwości osobom zmarłych, co jest chyba równie ważne, jak nienaruszalność ich szczątków. Wreszcie, jeśli chodzi o szacunek do samego siebie (cokolwiek by to miało znaczyć), to ktoś może go mieć i być przy tym bardzo złym historykiem, ktoś inny może go nie mieć (bo np. uważa się za etycznie ułomnego) i być przy tym historykiem bardzo dobrym.